



SERCE Z ODZYSKU

KONIECZNIE PRZECZYTAJ RÓWNIEŻ:

Blizny jak skrzydła
To, czego nie mówię



ERIN STEWART

SERCE Z ODZYSKU



Przełożyła
EWA BOBOCIŃSKA



**JAG
UAR**

Tytuł oryginału: *Every Borrowed Beat*

Text copyright © 2025 by Erin Stewart

Jacket art copyright © 2025 by Beatriz Ramo

All rights reserved. First published in the United States by Delacorte Press, an imprint of Random House Children's Books, a division of Penguin Random House LLC, New York.

Copyright © for the Polish translation by Ewa Bobocińska

Redakcja: Dominika Gołowin

Korekta: Magdalena Magiera, Katarzyna Chmielecka

Skład i łamanie: Robert Majcher

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Wydawczyni: Natalia Sikora

Redaktorka prowadząca: Anna Salwa

Koordynatorka produkcji: Anna Pawłowicz

Promotorki: Emilia Mazur, Aleksandra Sękowska, Zuzanna Barańska

Copyright for the Polish edition © 2025 by Wydawnictwo Jaguar

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-68383-31-7

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2025

JAG Wydawnictwo Jaguar
UAR Imprint Wydawnictwa Marginesy Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: ABEDIK

Wydrukowano na papierze Optibook 70/2,0.

Dla Ellie.
Noszę cię w sercu.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

„POWINNAM BYŁA UMRZEĆ.

I miałam umrzeć.

Tylko że nie umarłam – umarł ktoś inny.

I teraz żyję w pożyczonym czasie, z pożyczonym sercem, bijącym w mojej piersi.

Jaki jest problem z tymi wszystkimi pożyczkami? Zaczyna się zapominać, która z części ciebie jest naprawdę twoja”.

Nagranie się zatrzymuje, kiedy wyglądam szczególnie nieatrakcyjnie, jakbym miała kichnąć albo pierdnąć, albo – o zgrozo – zrobić obie te rzeczy naraz. Gdybym miała to komukolwiek pokazać, zdecydowanie musiałabym wybrać na koniec mniej upokarzający obraz.

Ale ja nie zamierzałam opublikować tego wideo i wiedziałam o tym, zanim jeszcze wcisnęłam klawisz nagrywania.

Ekran telefonu się rozjaśnia, ktoś dzwoni. Zanim odbiorę, zapisuję nagranie w folderze roboczym, wraz z pozostałymi niedodanymi urywkami relacji z szesnastu tygodni mojego chaotycznego miotania się po nowym tak zwanym życiu.

Kiedy wciskam „odbierz”, cały ekran wypełnia twarz Chloe.

– Już to zrobiłaś? – Przechodzi od razu do rzeczy, jakbyśmy byli w środku rozmowy. Chloe nigdy w całym swym życiu nie owijała niczego w bawełnę. To chyba jedna z pierwszych rzeczy, jakie zaczynamy robić, kiedy dowiadujemy się, że nasz czas jest ograniczony. Nie ma sensu trwonić go na formalności.

Potrząsam głową. Chloe wydaje jęk. Jej głos wypełnia cały mój pokój, choć Chloe jest o sześćset mil stąd, na wybrzeżu Kalifornii, i wdycha słone, morskie powietrze, starając się choć trochę przedłużyć życie.

– Sydney Wells, nie zmuszaj mnie do tego, żebym przeczołgała się przez ten telefon i wysłała to nagranie za ciebie. – Rurka z tlenem wetknięta do nosa świadczy o tym, że Chloe miała ciężką noc. Ale za dobrze ją znam, żeby o to pytać. – Miałymy prowadzić to konto razem. Jesteś mi potrzebna.

To gruba przesada. Chloe jest siłą napędową ListyOczekujących, naszego kanału na YouTube, gdzie zamieszcza nagrania, jak wygląda życie osoby z wadą serca, która znajduje się na liście do przeszczepu. Przedstawia to bardzo uczciwie – brutalnie – ale też dowcipnie, dlatego mamy niemal dwadzieścia tysięcy subskrybentów. Chloe jest właściwie celebrytką w świecie transplantacji.

Ja również zamieszczałam tam posty. Ale teraz wydaje mi się to... sama nie wiem... jakieś dziwne. Jednak w zasadzie, co teraz nie jest dziwne?

– Nazwa kanału to ListaOczekujących, Chlo. Może o tym nie wiesz, ale... – Opuszczam kołnierzyk koszulki poniżej obojczyka, tylko tyle, żeby odsłonić górną część blizny. Doktor Russell twierdzi, że goi się pięknie, ale jest czerwono-fioletowa i wygląda niepokojąco. – Ja już nie czekam.

Czuję, że Chloe przewraca oczami po drugiej stronie ekranu, w tej swojej Kalifornii.

– Halo? I właśnie w tym rzecz – mówi. – Twoja historia to historia sukcesu i tego ludzie potrzebują.

Chloe przysuwa się bliżej do kamery. Ma niebieskawe wargi, a fioletowe sińce pod oczami zdradzają brak snu. Zdecydowanie ma za sobą zarwaną noc.

Natychmiast ogarnia mnie poczucie winy. Ja tu się skarżę na życie po transplantacji, gdy ona wciąga tlen przez coś w rodzaju zagiętej słomki. I to jest powód, dla którego nie mogę wrzucić na stronę żadnego ze swoich nagrań: ja jestem tą, która przeżyła.

Nie mam prawa narzekać.

– Nasi fani zaczynają się zastanawiać – szepcze Chloe.

– Nad czym?

– Czy nie umarłaś.

– Jak widzisz, nie umarłam.

Chloe przybliżyła się jeszcze bardziej, widzę tylko jedną wielką gałkę oczną.

– To dyskusyjne.

Z dołu ekranu spogląda na mnie twarz, której nie znam. Nasi obserwatorzy prawdopodobnie również by mnie nie poznali. Przed transplantacją moja twarz była szczupła – nie, wręcz wychudzona. Moje wargi miały taki sam sinoniebieski kolor, jak teraz usta Chloe. Pod koniec wytrzymywałam najwyżej dziesięć minut bez tlenu. Mama mówi, że jestem teraz „uroczo pulchniutka”. Doktor Russel nazywa to twarzą księżycową, co jest eleganckim określeniem mojej gęby obrzmiałej po sterydach pod nazwą prednizon jak nadmiernie nadmuchany balon.

– Co właściwie miałabym powiedzieć w tym filmiku? – pytam.

– Jestem mało inspirująca. Mam siedemnaście lat i żadnego pomysłu, co zrobić ze swoim życiem. I zero przyjaciół, chyba że zaliczę do nich swoich rodziców. Ty się raczej nie liczysz.

– Chamka – stwierdza Chloe.

– Wiesz, o co mi chodzi. Przecież nie możemy się spotkać i wybrać się razem do... no... tam, gdzie chodzą normalni ludzie.

– Normalni ludzie? – powtarza Chloe z uśmiechem świadczącym, że się ze mną droczy.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie mam życia, o którym warto opowiadać. Obecnie mam tylko dwa hobby. – Podnoszę palce, żeby ostentacyjnie zacząć wyliczać. – Pierwsze, bardzo powolne, w tempie godnym staruszki, spacerki ślepą uliczką w towarzystwie wspomnianych wcześniej przyjaciół alias rodziców...

– To brzmi wspaniale – mruczy Chloe, a ja czuję kolejne ukłucie wyrzutów sumienia.

– I drugie – kontynuuję – czytanie lokalnych nekrologów. Chloe pochmurnieje.

– Nadal to robisz?

– Możliwe.

– Myślałam, że ją znalazłaś? Tamtą dziewczynę z małego miasteczka?

Kiwam głową.

– Jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ale nie zaszkodzi nadal sprawdzać.

Chloe wydaje z siebie przeciągłe westchnienie.

– Powinnaś wrócić do Klubu Złamanych Serc – oznajmia w końcu rzeczowym tonem. – Boże, w zeszłym tygodniu Josh, no wiesz, ten chłopak z wątrobą? W kółko powtarzał, że umrze, zanim zacznie uprawiać seks, i przysięgam, że o mało nie dawałam temu szczeniakowi, żeby się zamknął...

Chloe nie kończy, bo dopada ją atak kaszlu. Pokazuje mi uniesione kciuki, a potem jej twarz znika z ekranu. Słyszę, jak wyłącza kamerę. Chore ma serce, ale jej stan wpływa również na płuca. Napady stają się coraz cięższe. I pogarszają się,

odkąd poznałyśmy się dwa lata temu online na transplantacyjnej grupie wsparcia.

Zostałyśmy zapisane do grupy przez nasze mamy, które zaniepokoiło to, że stałyśmy się żaloszonymi nastoletnimi pustelnicami. Coś w stylu *Gwiazd naszych win*, tylko bez seksownych chłopaków z zamiłowaniem do metafor. No i ci młodzi chorzy na raka nie siedzieli na tyłkach, czekając na telefon z informacją: „Hurra! Ktoś umarł! Będziesz żyć!”.

My zwykle rozmawiamy o oczekiwaniu – co jest takie ohydne, jak to brzmi – i rozmawiamy o liczbach: o poziomie saturacji i o wydolności wątroby, i o tym, ile osób musi umrzeć, żebyśmy znaleźli się na samej górze listy oczekujących. I czy te osoby umrą w odpowiedniej odległości, we właściwy sposób, z odpowiednią grupą krwi i z organem w doskonałym stanie. Czy tragedia kogoś innego stanie się moim zbawieniem?

To chore, jeśli zapytacie mnie o zdanie (czego nie zrobiła moja mama, zanim mnie zapisała). Ale dzięki temu poznałam Chloe, nie da się ukryć. To Chloe nadała tej grupie wsparcia nazwę „Klub Złamanych Serc (i Części Zapasowych)” i sprawiła, że stało się to nawet znośne: to cotygodniowe obserwowanie, jak stan ludzi się poprawia albo pogarsza. Obserwowanie, jak różne osoby przesuwają się w górę na liście oczekujących albo spadają, jak w makabrycznej grze w gorące krzesła.

Bo to w istocie jest taka gra, nieprawdaż? Chora gra hazardowa, w której wygrana oznacza porażkę kogoś innego. Całkowitą.

Nie byłam na grupie od operacji. I bardzo wątpię, czy wszyscy mieliby ochotę mnie tam zobaczyć, pyszniącą się przed ich wadliwymi organami swoim nowiutkim jak spod igły, mocno bijącym sercem.

Twarz Chloe pojawia się znowu na ekranie, zaczerwieniona i spocona. Pociąga łyk wody ze stojącej obok butelki. To

taka ogromniasta butla z zagiętą słomką, jaką otrzymują chorzy w szpitalu. To kolejny stały element życia na liście oczekujących: imponująca kolekcja pamiątek ze szpitali.

– Mówię tylko tyle, że ci się udało, Syd. Jesteś tutaj. To świetnie. Świątuj to. – Na jej twarzy rozlewa się szeroki uśmiech. – A skoro już o tym mowa, dostałam maila od twojej matki. Na temat wielkiego dnia.

To „wielkiego dnia” Chloe wypowiada z wyraźnym sarkazmem. To powiedzonko mojej mamy, którego definicja w ostatnich latach rozszerzała się z każdym dniem. Pierwsza kupa po operacji? Wielki dzień! Pierwszy spacer po ślepym zaułku? Zyskanie na wadze? Pierwszy dobry wynik biopsji serca? Trzeba to upamiętnić!

A dzisiaj?

Dzisiaj wyjeżdżam z domu. Doktor Russell pozwoliła mi prowadzić samochód już miesiąc temu, ale czekałam, aż będę miała dokąd się wybrać. W jakieś ważne miejsce.

– To co zamierzasz zrobić? – pyta Chloe.

Rzucam jej wymowne spojrzenie, bo ona doskonale wie, co zamierzam zrobić. Już tydzień temu opowiedziałam jej o swoich planach na wielki dzień wyjazdu. Chloe potrząsa głową.

– Nie.

– Tak.

– Sydney. To zły pomysł.

Jej twarz nagle poważnieje, ten wyraz jest zarezerwowany wyłącznie dla najwyższej dezaprobaty.

I ma rację. Wiem, że ma rację. Ale przez ostatnie dwa lata żyłam jedną myślą: jeżeli w najbliższym czasie ktoś nie umrze, to umrę ja. To człowieka dręczy. Zmusza do zastanawiania się, ile jest warte jego własne życie – i kto powinien umrzeć zamiast niego.

A potem ktoś umiera.

– Dlaczego nie możesz jej po prostu śledzić w mediach społecznościowych? Jak „normalni” ludzie – dodaje Chloe.

– Sprawdzalam. I nic – odpowiadam. – Hej, czy to nie ty powiedziałaś przed chwilą, że powinnam zacząć żyć?

– Tak. Własnym życiem.

– Uznaj to za pierwszy krok. – Wbijam w Chloe intensywne spojrzenie, równie intensywne jak jej. – Kto wie, może to mnie zainspiruje do tego stopnia, że nagram obszerne, zapierające dech w piersiach wideo dla naszych widzów o moim wielkim dniu poza domem.

Wargi Chloe zaciskają się w wąską linię.

– Ja nie będę wstrzymywać oddechu. – Lekki uśmieszek błądzi w kąciakach jej ust. – Nawet gdybym mogła.

Parskam śmiechem, ona też. Dlatego mamy tak wielu obserwatorów, Chloe dosłownie śmieje się śmierci w twarz.

Przed zakończeniem połączenia znowu przysuwa się bliżej do kamery i w końcu widzę już tylko jej ogromne oko.

– Ale serio, Syd. Już sama ta historia z nekrologami jest wystarczająco dziwaczna, ale to... – Chloe robi pauzę, żeby tlen mógł do niej dopłynąć albo żeby znaleźć odpowiednie słowa. – Po prostu nie zbliżaj się za bardzo.

– Śmiertelnie wkurzasz moje serce z odzysku i zabijasz nadzieję – mówię i się rozłączam.

Ekran gaśnie. W pokoju zapada cisza.

No, jeśli nie liczyć dudnienia w mojej piersi, w uszach, w każdej części mnie, to moje nowe serce pompuje krew mocno, równo i doskonale, jak robiło to zawsze.

Sto tysięcy razy dziennie. Co daje jedenaście i dwie setne milionów razy w ciągu szesnastu tygodni.

Te uderzenia serca powinny należeć do niej.

Przynajmniej jestem przekonana w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, że do niej. Przez ostatnie cztery miesiące

miałam wyłącznie pytania, bez odpowiedzi. Jak wyglądało jej życie? Jakie robiła plany na te wszystkie lata, które jej ukradłam?

Pytania tłuką mi się po głowie prawie bez przerwy. Z nimi zaczynam dzień i z nimi go kończę. Z każdym pożyczonym uderzeniem serca.

I właśnie dlatego mama ma rację: dzisiaj jest naprawdę mój wielki dzień. Nie dlatego, że opuszczam dom z innego powodu niż wizyta lekarska albo geriatryczny spacer.

Ale dlatego, że dzisiaj wreszcie dostanę odpowiedzi na swoje pytania.

ROZDZIAŁ DRUGI

MAMA UŻYWA NAJLEPSZEJ ZASTAWY. Cieniutkiej porcelany z platynową obwódką wokół brzegu.

To element jej planu cieszenia się najdrobniejszymi rzeczami. Świętowania każdego dnia, nawet zupełnie zwyczajnego. Używa fantazyjnych ręczników. Zapala wyjątkowe świece. Podaje stertę naleśników na ślubnym serwisie – i to w środę, w powszedni dzień.

– Na jaką okazję ja go oszczędzam? – powiedziała, kiedy po raz pierwszy zniosła ten serwis ze strychu.

To było rok temu, kiedy doktor Russell powiedziała, że zajmuję wyjątkowo zasrane miejsce na liście oczekujących – nie jestem dość chora, żeby mieć priorytet do transplantacji, ale nie dość zdrowa, żeby dożyć dwudziestki.

– Dzisiaj jest ta okazja – oznajmiła mama tamtego popołudnia. – Jestem już zmęczona czekaniem.

Życie na liście robi z człowiekiem takie rzeczy.

Zanim wejdę do kuchni, zatrzymuję się na chwilę w drzwiach. Tata czyta przy śniadaniu tomik poezji, no oczywiście. Tata żyje i oddycha zmarłymi poetami, i oczekuje tego samego od swoich studentów oraz całej społeczności college'u.

Gdyby dziś nie było wielkim dniem, siedziałabym obok niego z jedną ze swych serdecznych książek. Tak tata nazywa stertę tomów przy moim łóżku – dziwaczną mieszaninę medycznych tekstów na temat ludzkiego serca oraz romansideł o nastolatkach, czyli opowieści o tym wszystkim, co mnie ominęło. Nigdy nie mam dość ich stałych wątków – fałszywych randek, przechodzenia od wrogów do kochanków i „o mój Boże, nas jest dwoje, a łóżko tylko jedno!”. Uwielbiam to. Chloe mówi, że te moje całusne książeczki są nudne. Ona lubi smoki, walki na miecze i odległe, fantastyczne krainy. Ja pragnę prawdziwego życia – miłostek, pocałunków i imprez – po prostu bycia normalną siedemnastolatką. To jest moje fantasy.

Trzymam pod pachą swoje ostatnie czytno – *Miłość od pierwszego kęsa* – toczący się w jakiejś piekarni romans, zapowiadający mnóstwo płomiennego napięcia z gatunku: „Będą-Czy-Nie-Będą-Razem”, i staram się wyglądać jak najmniej podejrzanie. Zawsze mam przy sobie książkę, na wypadek gdyby trzeba było długo czekać u lekarza albo gdyby mama musiała wpaść do sklepu zbyt zatłoczonego jak dla mnie.

Ściskam *Miłość od pierwszego kęsa*, podczas gdy mama układa poranny stos pigułek obok mojego luksusowego talerza. To istny koktajl środków przeciw odrzuceniu przeszczepu, sterydów, antybiotyków i witamin, który ma wspomagać mój organizm w gładkim współdziałaniu z nowym sercem.

To nieprawda, że najgorsze mam już za sobą, o czym z upodobaniem przypominają mi mama z doktor Russell.

Tata czyta mamie na głos jakiś wiersz, a ona przelicza pastylki, i kiedy tak na nich patrzę, otoczonych aureolą porannego światła, poważnie zastanawiam się nad dzisiejszym wyjściem. Od ósmej klasy ten dom i rodzice stanowili cały mój świat. To oznacza, że przez trzy lata byliśmy tylko we troje. Tak, jestem w jednej trzeciej żałosna, a w dwóch trzecich przegrana, bo

mój pomysł na piątkowe wieczorne rozrywki to albo maraton czytania powieści, albo oglądanie jednego z czarno-białych filmów mamy. Ale to miłe. Bezpieczne. Znajome.

Tata podnosi wzrok i zauważa mnie stojącą w drzwiach. Wznosi toast kieliszkiem z sokiem pomarańczowym.

– Wielki dzień – mówi i puszcza do mnie oko.

– Oto i ona! – Mama klaszcze. – Przerwij tutaj.

Biegnie do kuchni i po chwili wraca z kluczykami do samochodu i telefonem. Pozuję do fotografii z kluczykami na kółku dyndającymi na palcu, z książką pod pachą i torbą na ramieniu, w której schowałam najważniejszy element dzisiejszego wyjścia z domu: mój notatnik.

To wszystko jest naprawdę dość głupie. Można by pomyśleć, że po raz pierwszy w życiu siadam za kierownicą, a to tylko pierwszy raz po przeszczepie. Mama ogląda zrobione przez siebie zdjęcia. Już rozkoszuje się tym wielkim dniem.

Usatysfakcjonowana daje mi znak, żebym usiadła i nałożyła sobie na talerz naleśniki, jeśli można tak nazwać te paskudztwa z pełnego ziarna, pełne błonnika i zdrowe dla serca. W czasie gdy jem, rodzice niby mówią do mnie, a w rzeczywistości rozmawiają ze sobą ponad moją głową.

Mama: Jakie masz plany na dzisiaj?

Tata: Samochód jest zatankowany do pełna.

Mama: Wiesz, na kogo wczoraj wpadłam? Na mamę Bree Bennet. Pamiętasz Bree? Byłyście bliskimi przyjaciółkami. Może byś ją odwiedziła?

Tata: Sprawdziłem również opony.

Mama: To była miła dziewczynka. Może już czas odezwać się do dawnych przyjaciół, teraz, kiedy ty... kiedy sytuacja przedstawia się lepiej?

Tata: Masz prawo jazdy? A pieniądze? Może potrzebujesz więcej pieniędzy?

Mama: Położyłam na przednim siedzeniu odkażacz do rąk i chusteczki bakteriobójcze. Na wypadek gdybyś gdzieś weszła. Myślisz, że gdzieś wstąpisz?

Tata: Tylko bez tłumów.

Mama: I nie bierz sałatek. Ani sushi. Może lepiej nic nie jedz poza domem.

Tata: Andreo, dziewczyna może jeść.

Mama (śmiejąc się nieco zbyt piskliwie): Oczywiście, że może. Tylko że doktor Russell mówiła coś o infekcjach pokarmowych.

Tata: Proszę cię. Nie po to tyle już przeszła, żeby dać się pokonać sushi z surimi. Prawda, Syd?

Teraz patrzą na mnie oboje. Przelykam kawałek imitacji naleśnika.

– Zamierzam tylko przejechać się po okolicy. No wiecie, zabrać swoje nowe serducho na przejażdżkę. – Podnoszę książkę. – Może zatrzymam się gdzieś po drodze i spokojnie poczytam.

To kłamstewko. Takie malutkie. Zupełnie nieszkodliwe, jedno z wielu koniecznych do życia na liście oczekujących.

My wszyscy staliśmy się w tym dobrzy w ciągu ostatnich trzech lat. „Co ma być, to będzie. Lekarze wiedzą, co robią. Wszystko będzie dobrze”. Bez zastanowienia rzucały takie małe kłamstewka, byle tylko nie spojrzeć prawdzie w oczy.

Ale i tak nie lubię okłamywać rodziców. Nawet jeśli robię to wyłącznie dla ich dobra. Bo oni bez wątplenia zgodziliby się z Chloe, że moje plany na dzisiejszy poranek to nie jest dobry pomysł. A ja nie zamierzam zepsuć tego wielkiego dnia – ani im, ani sobie.

– Nic nie daje takiego poczucia wolności jak kluczyki do samochodu i książka – mówi tata.

Mama chmurzy się odrobinę.

– Może to trochę za wcześnie, Mike.

– Mamo, wszystko będzie dobrze – zapewniam. – Znam wszystkie zasady. Żadnych sałatek, żadnej surowej ryby, żadnego podawania rąk czy w ogóle kontaktów z ludźmi. No i wysiłku. I jeszcze nie zapominać o popołudniowej porcji pigułek. Będę w bardzo odpowiedzialny sposób korzystała ze swojej porcji wolności, okej?

Mama się uśmiecha, ale widzę, że nadal jest zdenerwowana. Przed transplantacją jej pracą w pełnym wymiarze godzin było przedłużanie mojego życia o kolejne lata. Teraz jej misja polega na pilnowaniu, by to serce przetrwało najdłużej, jak to tylko możliwe. A to nie lada zadanie, ponieważ przyjmowane przeze mnie sterydy sprawiają, że jestem podatna na wszelkie zarazki tego świata.

Najdłużej po przeszczepie żyje pewien facet z Kanady, który rozpoczął właśnie trzydziesty siódmy rok z nowym sercem. Ja, jeśli mi szczęście dopisze, przeżyję ponad dziesięć lat. Poza wszelkimi możliwymi komplikacjami i efektami ubocznymi mam dożywotnią listę „Rzeczy-Które-Mogą-Mnie-Zabić”.

– A może wzięłabym maseczkę? – mówię i wyciągam ją z torby, choć doktor Russell twierdzi, że już nie jest mi potrzebna. Od lat nie wychodziłam bez niej z domu. Nawet przed transplantacją musiałam być bardzo ostrożna, bo nawet najłżejsza infekcja mogła zawiesić mnie na liście oczekujących. A co, jeśli doskonałe serce pojawi się akurat podczas mojego przeziębienia? Nie warto było ryzykować.

Mama uśmiecha się, rozluźniają się jej ramiona.

– Nie zaszkodzi – odpowiada. – A masz folię bąbelkową?

Udaję, że szukam w torbie.

– Nie. Tylko zakazane prochy i prezerwatywy.

– To nie jest zabawne – woła mama ze śmiechem i rzuca we mnie serwetką.

– Trochę jest – mruczy tata, puszczając do mnie oko.

* * *

Po śniadaniu odprowadzają mnie do drzwi. Znowu mam poczucie, że wcale nie chce mi się wychodzić, więc zanim mu ulegnę, szybko ściskam ich oboje.

– To tylko przejażdżka – mówię. – Nie wyprawiam się na wojnę.

Mama ściska mnie trochę za mocno.

– Wiem, wiem. Tylko że... – Ociera oczy. – No, to jest wielki dzień, i tyle.

Tata bierze mnie za rękę i mocno ściska.

– Zabieram ze sobą twoje serce – mruczy cicho.

– Noszę je w moim sercu.

Dopowiadam wers z wiersza E.E. Cummingsa, który tata zmienił w nasze własne powiedzonko.

A potem wychodzę.